

Wojciech Brzega

Zapiski, notatki, wspomnienia

Urodziłem się 12 września 1872 roku, w ten dzień straszny dla Zakopanego. Jak pisze ks. Stolarczyk w *Kronice parafialnej* – wybuchł pożar w pobliżu kościoła, wiatr wiał w stronę kościoła, ksiądz już wyniósł z ołtarza Przenajświętszy Sakrament i umieścił go pod krzakiem w ogrodzie plebańskim. Na szczęście wiatr się odwrócił i niebezpieczeństwo minęło¹.

Mając niecały rok, przeżyłem epidemię cholery, która tu panowała w 1873 roku. W tym roku zmarł mój ojciec w Budapeszcie.

Czasy były bardzo ciężkie, ja ich nie pamiętam, przypominam sobie tylko dawną naszą izbę po dziadku. Pamiętam nasz stary dom, ale tak jak przez sen. Izba była wielka, biała, z łamaną powalą – w niej matka moja z ciotką razem mieszkały, a wuj, Sobek Brzega, żył z rodziną w drugiej izbie, czarnej. Tę izbę matka sprzedała, a wybudowano nam mały domek przy drodze², w tym domku się wychowałem, tam zacząłem rzeźbić, tam mnie odwiedzał Witkiewicz, gdy rzeźbiłem ornamentykę do ołtarza Bractwa Różańcowego według jego rysunku. Przeżycia tam miałem – przypominam sobie, jak się odbijał ogień z pieca, a ja myślałem, że to na dworze ogień się pali, i wychodziłem na dwór, by się przekonać, gdzie ten ognik, którego tam nie znalazłem. Później matka z ciotką przeniosły się ku drodze do domku nowo wybudowanego. Kamienie na podmurówkę nosiliśmy – bo i ja coś niecoś pomagałem – z potoku Cichego. Matka miała warsztat tkacki, robiła płótno, a my z Helcią, córką ciotki starszą o trzy lata ode mnie³, w lecie płótno my bielili, to znaczy polewali wodą płótno rozciągnięte na kamieniu*.

* Człowiek ówczesny własne potrzeby na miejscu przeważnie sam sobie zaspokajał. Siano len, robiono własne płótno, miano wełnę, więc było swoje sukno. Robiono torby juhaskie, szyto czapki, a wszystko to był przemysł własny... Robiono kądziele, warcule. Każda gaździna prząść umiała, a były i nadzwyczajnie wprawne – jak sculgła wrzeczono obiema dłońmi, jak puściła go na dyle, to się długo obracało, a ona po parę włókien skubała z kądzieli i jak włos cieniutką nitkę kręciła. Niektóre prządki robiły to z wirtuozostwem. Na warculi kręciło się grube nici na zgrzebne płótno... A robota koło lnu: wybieranie, potem rafanie, moczenie w moczydłach, rozpokosowanie na łące, suszenie, bicie, potem tarcie na trojczkach; przy czym śpiewano, bo po kilka dziewcząt tarło... Dobra gaździna miała dość swojego płótna dla siebie i dla swojej rodziny, miały także zapasy płótna – wałki po kilkadziesiąt łokci...

Obok była łączka mokra, na której rosła trawa kwaśna, zwana po góralsku „siwor”, a w niej było co niemiara różnych motyli. Było to coś tak ładnego, że do dziś dnia pamiętam zachwyty, jaki ten obrazek we mnie wzbudził.

W domku tym dobrze nam było, tylko wtenczas było straszno, gdy wiatr halny przyszedł, bo domek cały trzeszczał, trząsał się, a nasze matki – bo tak matkę i ciotkę nazywaliśmy z Helcią – skomlały z przestachu. Modliły się; co przyszedł silny podmuch i dom zaczął trzeszczeć, to one podnosiły głos i jęczały: „Boże! Odnieśże go na wirchy, lasy, pustacie. O Matko Bosko! Panie Jezusie, brońże nos, bidne gdowy, siroty”. I tak aż do ściszenia się wiatru. Domek był mały, to wiatr mógł go rozwalić,

